GONIEC TEATRALNY

PISMO ILLUSTROWANE POŚWIĘCONE TEATROWI, SZTUKOM PIĘKNYM I SPORTOWI.

WYCHODZI RAZ NA TYDZIEŃ.

Warszawa, dnia 24 Lutego / 8 Marca 1877 r. №. 10.



Fotodruk J. Dutkiewicza.

Rapacki.

RAPACKI.

Zanim Rapacki przyjechał do Warszawy, aby wstąpić w stałe szeregi tutejszéj sceny, już go poprzedził rozgłos, naznaczający mu piérwszorzędne stanowisko śród artystów dramatycznych. Rozgłos ten był bardziéj jeszcze znaczący, gdy podawał do wiadomości wszem wobec, iż Rapacki grywa role tragiczne z powodzeniem, które wysoko sięga ponad skalę pospolitości.

Rozgłośna sława, to wielki skarb dla artysty, ale też i wielki niekiedy ciężar. Może winny temu zbyt jednostronne nadzieje, ale Rapackiemu występy warszawskie w rolach dramatycznych nie przyniosły ani jednego laurowego listka, chociaż przyznać się godzi, że i w tém średniém powodzeniu publiczność mogła jasno dopatrzéć jego artystycznych zalet, wysokich i istotnie piérwszorzędnych.

Im więcéj wpatrywaliśmy się w grę artysty, tém te zalety występowały jaśniéj — tém też i braki uwydatniały się widoczniéj. I dzisiaj niéma zapewne człowieka, obeznanego z naturą sztuki dramatycznéj, któryby nie odgadł, w czém leży siła talentu Rapackiego, a w czém jego słabość. Przy dokładném też rozpatrzeniu natury tego talentu jakkolwiek piérwszorzędne stanowisko artysty bynajmniéj nie szwankuje, to wymagania publiki nie są co do niego tak bardzo wszechstronne, ale są słuszniejsze i sprawiedliwsze.

Rapacki tedy nie celuje w rolach seryo dramatycznych, ale celuje bezwątpienia w rolach charakterystycznych. Nie posiada on téj artystycznéj twórczości, która cały obszar roli umié wypełnić tchnieniem zapału i siły wewnętrznéj, ale czuje niepospolicie formę, czuje warunki jéj najszczegółowsze, umié patrzéć i z prawdą odtwarzać to, co stanowi plastykę sztuki dramatycznéj.

Dlatego to może jego *Skąpiec*, miniaturowo wykończony w najsubtelniejszych odcieniach formy, całością swéj postaci budził pewien niepokój — bo rozdrobnił się na mistrzowskie cząsteczki wybornéj charakterystyki, a w syntetyczną jedność się nie skrystalizował.

Rapacki — powtarzamy — umié patrzéć i naturę odtwarzać. Pod tym względem porównalibyśmy go do żywéj fotografii typów. Każdy szczegół formy ma u niego fundament w realnym bycie, zkąd płynie realizm w grze jego, ów realizm który wyłącza do pewnego stopnia samodzielną twórczość, a mimo to nadaje postaciom niezrównaną ekspresyą i dosadne rysy niezamąconéj prawdy.

Nie chcemy tu wymieniać owych postaci, tak różnych między sobą, a tak podobnych przez wspólny pierwiastek realizmu, z jakim do życia przez Rapackiego powołanemi zostały. Pyszna to galerya typów, naszkicowanych śmiało, a wypełnionych barwami i cieniami tak subtelnie, iż wykończenie ich formy częściéj przechodzi granice możliwości, aniżeli ich nie dosięga. Rapacki bowiem, biorąc do gry daną postać, wypełnia ją pomysłami własnemi, nie poprzestając na autorskich informacyach. Czasem drobniutki na pozór szczegół, o którym się autorowi nie zamarzyło nawet, staje się w grze artysty jednym więcéj, ale zasadniczym rysem, osiągającym ekspresyą formy mistrzowską. Pod tym względem Rapacki bywa wynalazczym przedziwnie. Jego Pokock w *Pojedynku szlachetnych* dowodzi najdosadniéj, co może taka wynalazczość, taka zabiegliwość o drobnostki... bez których doskonała charakterystyka ostać się nie może. Dowodzi także, iż w sztuce niema postaci trzecioplanowych, jeżeli piérwszoplanowa plastyka nada im dosadność rysów właściwą, co jednak, odnośnie do warunków perspektywicznych sztuki danéj często w błąd się zamienia.

Rapacki czynników dla gry swojéj szuka w realnéj prawdzie, w odtwarzaniu jéj objawów, w gestykulacyi, w głosie, w perspektywiczném skracaniu lub wydłużaniu własnéj postaci, w chodzie, spojrzeniach... ale najmniéj — lub nigdy może — w uczuciu. Gra jego nosi też wszystkie cechy rozumu artystycznego... cechy skutecznéj badawczości, która mu pozwala osiągać efekta bardzo liczne, ale i bardzo drobnostkowe. Przykuwa ona do siebie całą uwagę widza, każe się rozpatrywać w szczegółach — lecz całością wrażenia nie wywołuje. Żar wewnętrznego zapału z téj gry po mistrzowsku wykończonéj nie wieje na tłumy, bo go w niéj niema... Nie jest ona ani świetną, ani zachwycającą — nie unosi, nie porywa, nie rozgrzéwa nawet — lecz każe siebie podziwiać i zniewala przez wirtuozostwo mistrza, który działa wprawdzie nachłodno, lecz zarazem i napewno.

Pisząc o Rapackim, jako o artyście dramatycznym, godziłoby się oznaczyć i jego stanowisko, jako dramatycznego pisarza... Godziłoby się — a jednak tego nie uczynimy. Nie uczynimy tego z powodu, że jeżeli charakterystyka działalności scenicznéj da się zawrzéć w kilku rysach — to praca autorska, na polu dramatu dziejowego témbardziéj, nie podaje się za przedmiot do pobieżnéj wzmianki. Dlatego téż kończymy na zapewnieniu was, szanowni czytelnicy, że autor *Mazura czarta*, pomimo tu i owdzie głoszonych zdań ujemnych o jego działalności pisarskiéj, zasługuje na troskliwy i bardzo sumienny rozbiór, a prace jego, mimo usterek i wad, są pracami bardzo poważnemi... Stanowisko Rapackiego na scenie jest piérwszorzędne — stanowisko zaś jego w literaturze jest już *wydatne*... Niemało to, po kilku latach pracy, i niemało, jako zadatek długiéj jeszcze przed artystą-pisarzem przyszłości.

St. M. Rz.

ETAP.

(Z COPPÉEGO).

Minęła pora błogich wczasów na kwaterze,
Pora zalotów, biesiad i gawęd wesoła;
Daléj za broń rekrucie, trąbka w pochód woła:
Baczność! Dwójkami w prawo! Pułk zmienia swe leże!

Droga wasza daleka i twarda żołnierze!
Szlusuj, choć mdleją nogi, choć znój ciecze z czoła,
A niechaj ci gospody nie pachnie jemioła:
Dachem twym gołe niebo — łożem darnie świeże!

Jestem z pułku niedoli. Kto wié jak daleki
Cel mojego pochodu: mogiła? — Wśród spieki
Krocząc upadam z trudu, głodu i pragnienia!

Idę — za całą ulgę mojego cierpienia
Mogąc tylko przerzucać boleść co mnie łamie,
Jak piechur swój karabin — z ramienia na ramię!

Włodzimierz Zagórski.

LEKCYA MAŁŻEŃSKA.

NOWELKA

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

I.

Na scenie przedstawiano Fru-fru.

Drugie takie samo Fru-fru siedziało w loży piérwszego piętra i poruszając więcéj z przyzwyczajenia jak z potrzeby misternie rzeźbionym wachlarzykiem z kości słoniowéj, poglądało roztargnione to na widzów to na scenę.

Fru-fru to miało jasne włosy, zczesane podług ostatniéj mody, na nich błękitną kokardkę, która łudząco udawała motylka, co na chwilę przysiadł i rozłożył drżące skrzydełka pod promieniami gazowego słońca. Motylek ten miał dwa brylantowe oczka. Twarzyczka Fru-fru była świeżutka, drobna, przypominała trochę piękność z dzienników mód, ale pełna życia i wdzięku. Ruchy jéj były

zgrabne, a cała figurka wydawała się tak powiewna, leciutka, że zdawało się dosyć dmuchnąć, aby uniosła się w górę, jak piórko kolibra.

Obok niéj siedziała jakaś niepierwszéj już młodości panna, którą zabrano widocznie do teatru dla towarzystwa, lub dla zapełnienia miejsca. Widać było po jéj minie, że to była przystawka, na którą Fru-fru nie wiele zwracało uwagi. Za to parter obserwował ją i robił złośliwe uwagi nad toaletą i fryzurą téj „wypożyczonéj“ cioci, jak ją nazywano. Rzeczywiście miała wiele podobieństwa do wynajętego mebla, odstawała rażąco od swéj towarzyszki nie tylko wiekiem i brzydotą, ale pretensyjonalną, parafijańską elegancyją. Wyglądała jak wystawa norymbergskiego sklepiku; wszystkiego miała po trosze, a wszystko w najgorszym gatunku. Na parterze utrzymywano, że ją posadzono w loży dla odciągnięcia wzroków od ruchliwéj a powabnéj blondynki, inni byli tego zdania, że dla uwydatnienia kontrastu. Bądź jak bądź i jedni i drudzy nieodwracali oczów od téj loży i lornetami wszelkiego kalibru mierzyli w nią. Zapytywano się wzajem: kto to? ale nikt nie umiał tego powiedzieć; niektórzy z dwóznacznym uśmiéchem robili miny, pozwalające się wszystkiego domyślać. Wszyscy zgadzali się na to że czupiradło było paradne w swoim rodzaju, a Fru-fru prześliczne.

Kobiéta, która budziła między publicznością tak żywe zajęcie zdawała się nie być tém ani zdziwioną ani zmieszaną. Spojrzenia jéj ciemnych oczów obojętnie i swobodnie prześlizgiwały się po twarzach patrzących; czasami przyłożyła lornetkę do oczów, czasami dzieliła się ze swoją towarzyszką jakiém postrzeżeniem, zaprawne uśmiéchem wesołym, to zanurzała lekko zadarty nosek w bukiecie, albo drobnemi paluszkami dobywała z torebki cukierki i z nieopisanym wdziękiem wkładała je między drobne, perełkowe ząbki. Wszystko to czyniła z taką dziecinną swobodą, tak mało robiła sobie z całego otoczenia, z ciekawości i obserwacyi, że wyglądało to albo na bardzo wyrafinowaną kokieteryję, albo na wielką naturalność, pełną wrodzonego wdzięku i dystynkcyi.

Kobiéty przypuszczały to piérwsze, mężczyzni przeważnie skłaniali się do ostatniego przypuszczenia.

Wśród tego bezcelowego błądzenia po scenie i po widzach oczy naszéj pięknéj nieznajoméj zatrzymały się naraz u wejścia do parteru.

Na zieloném tle portyjery stał tam jakiś brunet twarzy bladéj, przejrzystéj, delikatnéj, przy któréj czarne jego wąsiki, czarna hiszpanka, czarne powłóczyste oczy z długiemi rzęsami i najczarniejsze włosy jeszcze czarniéj wyglądały — jak znowu bladość jego gorsu, spiętego czarnemi guziczkami i białych mankietów, jeszcze efektowniéj występowała w obec czarnego fraka, czarnego krawata, czarnéj kamizelki i innych tym podobnych czarności. Całe to zjawisko wyglądało jak portret jakiegoś włoskiego muzyka, namalowany dopiéro tuszem na białym kartonie; składał się tylko z dwóch kolorów, nadzwyczaj białego i niesłychanie czarnego. Tylko na palcu lewéj ręki, którą wszedłszy do sali gładził włosy i porządkował zakręty aksamitnego wąsika, widać było złoty pierścionek z turkusikiem.

Czarno biały ów jegomość, przebiegłszy oczami loże, zatrzymał je także na pięknéj nieznajoméj i zdawało się, iż oboje w téj chwili drgnęli. Oprócz tego twarz pięknéj nieznajoméj silnie się zarumieniła, jak róża w obec wschodzącego słońca. Nikomu z obecnych na myśl nie przyszło, że ten jegomość, mający wszystkie warunki do [reprezentowania ponuréj nocy, robił w téj chwili wrażenie wschodzącego słońca. Słońce to po kilku schodkach zsunęło się między krzesła i zginęło wśród siedzących. Za chwilę błysnęło znowu bladą twarzą i białym półkoszulkiem zwrócone w stronę loży, w melancholicznych oczach błysnęło coś nakształt uśmiéchu, radości, zachwytu; wszystko to ów nieznajomy wpakował w dużą, także czarną lornetę, i wymierzył prosto do loży Fru-fru. Niekiedy znowu ona przykładała małą, białą lornetę do oczów, a wtedy on odkrywał blade lica i z bohaterską odwagą narażał je na niebezpieczne pociski.

Przeszło pół czwartego aktu trwało to wzajemne ostrzeliwanie się, gdy naraz czarno-biały rycerz kierując znowu lufy swojéj lornety w stronę loży, dostrzegł za głową pięknéj nieznajoméj poważną twarz trochę łysą, w złotych okularach i angielskich faworytach. Pojawienie się téj twarzy widocznie musiało osłabić odwagę bruneta, bo złożył broń a potem zwrócił ją już na scenę, w którą bez przerwy wpatrywał się do końca aktu.

Napróżno dama posyłała mu wyzywające spojrzenia to gołemi, to uzbrojonemi w szkła oczami, rzucała się niespokojnie, krząkała nawet parę razy znacząco dla zwrócenia jego uwagi, brunet tak zaciekle zajęty był sztuką, że niewidział ani słyszał tego, a przynajmniéj nie dał znać po sobie tego. A gdy nawet po spuszczeniu kurtyny nie podniósł oczów w górę, ale je utopił w głębi swego czarnego kapelusza, dama tozdrażniona tem widocznie, z gestem zniecierpliwienia rzuciła się na krześle i odwróciła na bok.

W téj pozycyi dopiéro spostrzegła obecność twarzy w złotych okularach i angielskich faworytach — i to uspokoiło jéj niecierpliwość.

— A, jesteś tu — rzekła z obojętnem zadziwieniem.

— Jestem od początku aktu.

— Nie słyszałam cię wcale wchodzącego.

— Nic dziwnego. Uważałem, że byłaś zajęta sztuką i nie chciałem przerywać ci.

Słowa te powiedział z łagodną powagą, która była całkiem w zgodzie z jego twarzą dystyngowaną i szlachetną.

— I jakże ci się sztuka podoba? — spytał przysiadając się bliżéj.

— A, nie zła — odezwała się roztargniona. W tonie jéj głosu znać było, że nie myślała o tem, co mówiła.

— I jakże uważasz postępek Fru-fru?

— Jaki postępek?

— No, jéj wyjazd z domu, opuszczenie męża i dziecka.

— Nie uważałam téj sceny.

— A o czemże ty dziecko myślałaś, jeżeli nie słyszałaś téj sceny? — spytał mąż z łagodnym uśmiechem — to przecież najpoważniejsza scena.

— Trudno mieć ciągle wytężoną uwagę. Przychodzę do teatru, żeby się rozerwać, a nie uczyć.

— Mąż chciał coś powiedzieć, gdy nagle wystawa norymbergska poruszyła się żywo na krześle, przy czem całe muzeum wstążek, kokard, paciorków, kolczyków i przeróżnych świecideł, poruszyło się z szelestem, a wystawa przemówiła do Fru-fru.

— A co, niemówiłam, *on* jest tu!

— Kto taki? — spytało Fru-fru.

— On Ludwik, ściga nas wszędzie. O! ja miałam przeczucie, że go niezadługo zobaczę.

— I ja, — rzekł z pewnym naciskiem mąż.

Tylko Fru-fru nic się na to nie odezwało i bawiło się zawzięcie rozmotaniem węzełka we frenzelkach swego szala.

Podniesiono kurtynę. Fru-fru usiłowało słuchać uważnie. To jednak nie przeszkadzało, aby od czasu do czasu nie rzucać ukradkiem spojrzenia w stronę, gdzie siedział brunet. Trzeba się było domyślać, że tam siedzi, bo nie było widać nic, tylko czarne jego włosy, czarną lornetę mocno przyłożoną do oczów a wycelowaną na scenę i białą rękę z turkusowym pierścionkiem wychylającą się z mankieta nieposzlakowanéj białości.

To jego mocne zajęcie się sceną musiało dać dobry przykład roztargnionemu Fru-fru, bo także tam skierowała swoją uwagę i usiłowała siedzieć spokojnie i słuchać. Ktoby jednak był ją uważniéj w téj chwili obserwował, byłby w tém pozornem skupieniu uwagi widział chmurkę niezadowolenia, kapryśne zadąsanie się i irytację.

Nie doczekała do połowy aktu i zwracając się do męża rzekła znudzona:

— Chodźmy już.

— Nie ciekawaś końca?

— Koniec we wszystkich sztukach jednaki — ona pójdzie za niego.

— Źle się domyślasz, on ją odepchnie, gdy będzie chciała wrócić.

— Tem gorzej, nie cierpię sztuk, które się kończą smutnie.

Zarzuciła biały atłasowy szalik na ramiona i posłała jeszcze raz spojrzenie gniewne do krzeseł do czarnych włosów, które zdawały się zrosłe z lornetą — i wyszła piérwsza z loży.

Kiedy właściciel czarnych włosów zdecydował się podnieść oczy w górę, loża była już pustą. To go poruszyło, wybiegł prędko do foyer i czekał przy wyjściu z lóż. Czekał blizko kwadrans na próżno.

II.

W oknie hotelu stało Fru-fru, mazało bezwiednie paluszkiem po szybach i patrzało na ulicę wzrokiem, który nic nie widzi, prócz własnych myśli.

Mąż wszedłszy w téj chwili do pokoju, zbliżył się do niéj po cichu i spytał łagodnie:

— O czem?

Pomimo, że wypowiedział te słowa cicho, delikatnie, by jéj nie przestraszyć, wzdrygnęła się cała i obróciła, a spostrzegłszy męża zachmurzyła się i rzekła gniewnie:

— Co za niedelikatność, tak mnie przestraszyć.

— Byłaś więc tak mocno zamyśloną, czy zapatrzoną? Cóż cię tak zajęło?

— Cóżby mnie zająć mogło? Zamyśliłam się, bo sama już niewiem, co robić z nudów w téj mieścinie. Ciekawa rzecz, dla czego wyjechaliśmy z Wiednia.

— Boś także narzekała, że się nudzisz.

— Ale nie tak, jak tu, Wiedeń przecież stokroć zabawniejszy.

— To wracajmy do Wiednia.

— Jakto? Chcesz wracać?

— Choćby dziś.

— Wieczna włóczęga. Wolę już tu zostać i nudzić się; jak wracać znowu.

— Więc zostańmy.

Położył kapelusz na stole i wziął w rękę gazetę.

— Zostajesz w domu? — spytała żona.

— A ty chciałabyś może wyjechać?

— Ja nie, ale ty. Czas tak piękny.

— To prawda. Toby cię także rozerwało. Więc chodźmy.

— Ależ ja nie pójdę nigdzie — odrzekła niecierpliwie. — Jestem cierpiąca i potrzebuję być samą.

— W takim razie przejdę do pokoju Mińci.

Chciał już odejść, gdy wszedł służący hotelowy i oddał bilet.

— O! Ludwik — rzekł przeczytawszy bilet i spojrzawszy na żonę powtórzył głośniéj — Ludwik.

— Ten pan dowiaduje się, czy może wejść — rzekł służący.

— Prosić, odezwało się żywo Fru-fru.

— Przyjmujesz? — spytał mąż z wielkiem zdziwieniem po odejściu służącego.

— Dla czegóż miałabym nieprzyjąć? — odrzekła niepatrząc mu w oczy.

— Wszak chciałaś być samą?

— Prawda, zapomniałam o tém w piérwszéj chwili. Teraz niemożna już cofać się. Cóżby sobie pomyślał.

— Przyznam ci się — rzekł mąż siadając — że mnieby tam niewiele obeszło, coby sobie pomyślał. Ten pan Ludwik zaczyna być już trochę natrętnym. Czy uważasz, że od samego Medyjolanu formalnie ściga nas jak cień. My w Wenecyi, on w Wenecyi, my do Wiednia i on za kilka dni tam się zjawia, i tu zaledwie przybyliśmy jest prawie tuż za nami. To zaczyna być nudne. Nie umiem sobie wytłómaczyć tej zgodności jego planów podróżnych z naszym.

— Wszak ci to sam dał do poznania. Myśli starać się o Mińcię.

— Czemuż się nie oświadcza? Jestem pewny, że Mińcia z ochotą zrzekła by się swego długiego panieństwa na rzecz takiego kawalera.

— Podobno jego interesa familijne niepozwalają mu jeszcze zrobić stanowczego kroku.

W téj chwili wszedł anonsowany pan Ludwik, znowu czarno-biały, jak wczoraj w teatrze. Być może, iż nie bardzo był przygotowany na zastanie męża, bo się zmieszał nieco i zaczął usprawiedliwiać swoją wizytę, — a że brak mu było argumentów, któreby przekonały męża i wygładziły jego chmurnie sfałdowane czoło, więc zapytał o pannę Minę, jéj zdrowie.

— Może byś powiedział Mińci, że pan Ludwik przyszedł, — rzekła żona.

Mąż wstał, poszedł ku drzwiom drugiego pokoju.

W téj chwili Fru fru i brunet skrzyżowali ze sobą porozumiewające spojrzenie. On wyjął jakąś białą karteczkę i korzystając z chwilowego oddalenia się męża chciał jéj rzucić; gdy wtem mąż na progu zwrócił się i schwycił spojrzeniem niespokojny ruch gościa.

Gość starał się ruch ten zamaskować kierując rękę wyciągniętą wraz z kartką ku głowie, niby dla poprawienia włosów. Był pewnym, że mu się udało tym manewrem oszukać męża, bo ten całkiem spokojnie się zachował, tylko nie poszedł już do pokoju Mińci, jeno przez drzwi zawołał na nią, a potem wrócił na dawne miejsce.

Mina zajęta była w swoim pokoju stawianiem pasyjansa. Było to jéj ulubione zajęcie w czasie podróży i wszystkie główniejsze miasta, które zwiedzili, zostawiły jéj tylko takie pamiątki, gdzie i które pasyjanse najlepiéj jéj wychodziły. Dzisiejszy dzień był pod tym względem bardzo szczęśliwy. To też niechętnie porzuciła karty, aby iść spytać się kuzynka, czego sobie od niéj życzy. Ale zaledwie otworzyła drzwi i ujrzała czarno-białego waleta, cofnęła się prędko z wykrzykiem w którym malowała się żywa radość i panieńskie zażenowanie.

Zażenowała się za swój ubiór skromny, w którym prawdę powiedziawszy wyglądała jeszcze wcale znośnie i pobiegła coprędzéj zeszpecić się — a raczéj wystroić. Walet żywy składający się z białego i czarnego koloru wymagał innego stroju, niż walet malowany jaskrawemi farbami w czeskiéj jakiejś fabryce kart. Więc panna Mina dobyła z podróżnego kufra cały arsenał przyborów, obliczonych na zdobycie młodzieńczego serca: puszki z różem, puszki z pudrem, jakieś szminki, mastyksy, wody wszelakiéj barwy i różnych zapachów, armiją szpilek, roje kokard, kołnierzyków, wstążek i inne przybory toaletowe, których tu ze względów dyskrecyi winnéj płci pięknéj, do któréj panna Mina miała pretensyje liczyć się zawsze, nie wymienię. Za pomocą tych wszystkich akcesoryj panna dość znośna, mimo spóźnionego wieku, przemieniała się powoli w straszydło.

A tymczasem kuzynek jéj bawił uparcie waleta i nieodstępował go ani na chwilę, pomimo, że żona kilka razy próbowała skłonić go do wyjścia różnemi żądaniami. To chciała się dowiedziéć, co jutro w teatrze, to znowu prosiła go, aby się dowiedział, co za dama stoi w sąsiedztwie, która ją tak w nocy zaintrygowała i zniecierpliwiła niespokojnem zachowaniem się, to życzyła sobie, by jéj kupił małego pinczerka, którego widziała wczoraj u portiera.

Mąż załatwiał te wszystkie życzenia żony za pomocą dzwonka i służby hotelowéj, nieruszając się z pokoju i nie przerywając wcale żywéj z gościem rozmowy.

Dopiéro za wejściem wyfiokowanéj kuzynki ustąpił jéj swego miejsca, a sam zbliżył się do żony nadąsanéj i czegoś mocno zniecierpliwionéj. Zrobił jéj po cichu pół głosem uwagę, że możeby należało zostawić młodych samych dla bliższego porozumienia się i swobodniejszéj wymiany uczuć; ale nie zgodziła się na to, uważając podobne postąpienie za nieprzyzwojte i bez taktu.

Po jakimś czasie zaproponowała sama spacer. Prześliczny dzień zachęcał bardzo do tego. Wszyscy się zgodzili. Panna Mina potrzebowała znowu jakiegoś czasu zanim udekorowała swoje wdzięki na publiczny występ, gdzie już nie jeden walet, ale walety różnéj barwy i struktury oglądać ją mieli.

Przy wyjściu czarno-biały walet zbliżył się do Fru-fru i podając jéj ramię spytał:

— Czy mogę służyć?

Zanim miała czas odpowiedziéć, mąż wyręczył ją i rzekł:

— Może pan będzie łaskaw podać ramię Mińci. My będziemy wam matkować.

Powiedział te słowa tonem wesołym, żartobliwym, o który nie można było się obrazić.

Przez cały czas spaceru trzymał się w pewnéj odległości od zakochanéj pary, jak nazywał Ludwika i Mińcię, i nie dał sposobności Leonowi zbliżenia się do żony.

Nie mógł jednak przeszkodzić, by przy pożegnaniu tenże nie podał jéj ręki, a że się to działo w ciemnéj sieni, nie mógł także dostrzedz, że biała karteczka dostała się wtedy w drobne rączki Fru-fru. Zauważył tylko gdy wrócili do mieszkania, że była mocno wzruszoną i niezwyczajnie zarumienioną...

(*D. n.*)

SZEKSPIR, SZYLLER, GETHE,

NA SCENIE WARSZAWSKIEJ.

Urońmy kilka grubych łez mój czytelniku, nad panem Emilem Deryngiem, zasiadającym obecnie reżyserskie krzesło warszawskiéj Melpomeny... urońmy nad nim kilka współczucia łez...

Nieszczęśliwy to człowiek; sieje słodkie nadzieje ziarna a zbiérać będzie piołun zawodów. W fatalną widać zamarzywszy chwilę o „Fauście" i „Dziewicy orleańskiéj" chce te wielkie geniuszów dzieła oblec w ciało na naszych deskach?!...

O ślepy, trzydzieści razy ślepy—o niebaczny a w doświadczenie ubogi, o śmiały i hazardu pełen człowieku, czy wiesz ty czem to okupuje się wystawienie tragedji w świątyni sztuki naszego miasteczka?!

Ażaliż niemiałeś przykładu na swym poprzedniku który próżno szamotał się dniami i miesiącami chcąc wydobyć z pyłu „Makbeta"?...

Wszakżeż sam wznawiając dzieje Julji i Romea, widziałeś jak wielką są właśnie ci przeszkodą, którzy wszelkie przeciwieństwa zwalczać z zaparciem się i poświęceniem powinni.

O! krucha siło śmiertelnika, jak śmiesz stawiać się bogów przepotężnéj mocy?

. . . .

Lecz łzy otarłszy, powiedzmy krótko o co chodzi. Pan Deryng chce więc wystawić „Fausta" i „Dziewicę orleańską". Piękne to — ale... niemożliwe.

I niechaj nam tu nikt ironicznego nie okazuje uśmiechu, niech nikt nie sądzi że żartem chcemy zbywać lub niewiarą zatruwać. Przeciwnie, stoimy przy swojem — pewni bowiem jesteśmy iż wobec dzisiejszych pojęć półbożków (mowa o wielkich naszych artystach) żadna tragedja żadnego choćby najgenialniejszego nieboszczyka, udać się nie może.

Chcecie dowodu. Jest „Romeo". Wszak to Szekspir panowie... podobno tak... I jak go tu, u nas, w domu, uczczono, jak z nim postąpiono? Co najmniéj... niedyskretnie.

Podczas bowiem gdy w całym świecie ceniącym sztukę i piękno, hołdującym geniuszom, pierwszorzędni artyści przyjmują na siebie drogi ciężar téj tragedyi, u nas prócz znakomitéj pary werońskich kochanków, szasta się po scenie półtuzina patentowanych miernostek, niedojrzałych talencików i t. p. indywiduów niepowolanych i nie wybranych.

A co robią prawdziwi kapłanie, namaszczeni, nie farbowani posłannicy?... Cóżby mieli robić — nic... czekają nowéj roli w farsie, w sensacyjnym dramacie francuzkiéj fabryki lub w oryginalnéj komedji, która często ma charaktery *ad personam* aktora lepione...

Prawdziwi kapłanie nie łączą swych pieśni z chórem, oni piać chcą sami, jedni, każdy osobno, na ton inny, im głośniéj, jaskrawiéj, tem lepiéj, ludek się ucieszy...

Prawdziwi kapłanie nie mogą być *ogonami* — jak się raz p. Bogusławski w swéj naszpikowanéj prawdą recenzji wyraził — ani téż nie mogą stanowić *przystawki.*

Prawdziwi kapłanie, augurowie nasi, wyrobili sobie od dawna pewnego rodzaju monopol zajęć w uroczystościach scenicznych; nie stawaj im w drodze, bo cię zjedzą... Prawdziwi kapłanie mają swoje, własne o sztuce pojęcia a zagraniczna praktyka, zwyczaje z za gór, nic ich nie obchodzą — kto zresztą wié czy lepiéj za morzem?

. . . .

Za morzem? Hm! to rzeczywiście trochę trudniéj wiedziéć; ale można oto poinformować się nieco co tam słychać, bliżéj jak np. na scenach francuzkich i niemieckich, na tych samych co to — jak wyżéj powiedzieliśmy— do piękna się modlą.

Weźmy Niemcy — Wiedeń. Prawie jednocześnie grano u nas i tam „Romea". Tam od pierwszéj do ostatniéj roli mistrze, u nas prócz Deryng, Tatarkiewicza, Szymanowskiego i Chomińskiego, jacyś Krupińscy, Kruszewscy, Siemianowscy, Boczkowscy, słowem obywatele nieokreślonego zajęcia.

Jak wam się zdaje, kto grał w nadwornym teatrze aptekarza, aptekarza u nas uosobionego przez p. Dąbrowskiego, aktora co więcéj nad dwadzieścia słów nigdy więcéj litery na scenie nie powiedział.

Któż go grał tego lichego aptekarza, kilkuwierszowy charakter, ogon nad ogonami, to zero?... Grał go Lewiński.

Czyż mówić mam co to jest Lewiński? Czy przypominać iż to dziś pierwszy tragik niemiecki, a może i pierwszy w świecie, jedyny i ostatni rywal Dawizona, artysta okryty sławą, ozdobiony mnóstwem oznak honorowych?

Lewiński gra aptekarza, wypowiada kilkanaście wyrazów, jest *przystawką* dla Romea, w scenie niezmiernéj doniosłości, wymagającéj harmonii w otoczeniu.

Lewińskiemu powierzyła rolę tę świadoma swego zadania reżyserya, mocna w swém postanowieniu bo dbała o rzecz, a gdyby nawet tego nie uczyniła, jesteśmy przekonani iż artysta tak jak on kochający sztukę, sam by się podjął téj pracy *wdzięcznéj.*

Tam Eskalus dostaje się artyście, Monteki toż samo; tam Tybalt nie przypomina ucieszněj figury z kart a Benwolio cyruliczka, tam pani Kapulet jest panią Kapulet a nie Janową ze Starego Miasta, ojciec Laurenty mówi złotemi słowy a nie śmieszy tak jak pan Krogulski, mamka jest Szekspirowską mamką w niczem niepodobną do panny Micińskiéj.

. . . .

Tak tam...

A u nas?... możeby także podobnie być mogło, gdyby panowie Rapacki, Ostrowski, Leszczyński, (prezencja do szekspirowskich typów aż miło) a nawet od nich starsi, nie gnuśnieli wówczas u ognisk rodzinnych w szlafrokach, gdy się na scenie szekspirowski dramat rozgrywa — gdyby panie Niewiarowska, Ostrowska zechciały miłą w zaciszu domowem robotę pończoszek porzucić a wzięły się raczéj do ról staréj Kapelutowéj lub Marty.

Generalskie szlify nie dają przywileju do staczania tylko wielkich bitew i planowania olbrzymich kampanji— leź bratku w tyralierkę gdy tego potrzeba.

— Jesteś artystą — służ więc sztuce duszą i ciałem, stłum rozdraźnioną ambicyjkę, fałszywe kaprysy pozornie obrażonéj godności, zabij swoje „ja" a uderzę czołem przed tobą!

Tak mówił pewien „art. dram." do swego młodego kolegi, choć sam na drugi dzień nie przyjął podrzędniejszéj przysłanéj mu roli...

Pan Bogusławski w całym *inteligentnym* składzie żeńskim warszawskiego dramatu nie mógł ani jednéj nakłonić „artystki" do odegrania czarownicy w „Makbecie", a potrzeba ich trzech! *Horror! horror!*

. . . .

Czyż w obec tych smutnych, bardzo smutnych okoliczności — a niestety jak słońce Boże istotnych — nie płakać nam nad panem Deryngiem zmuszonym do ćwiczenia rekrutów dla boju, wymagającego ostrzelanych żołnierzy?

Czyż wreszcie nie płakać nam nad całością dzieł wiel-

kich wypisanych u góry mistrzów, niekiedy najciemniejszy kąt prowincjonalnego sceniska przypominającą?

Oj, płakać, płakać dotąd, dopóki artyści nasi, ci od „arkuszowych ról“ nie zrozumieją obowiązków swego zawodu, dokąd nie otrząsną się z fatalnego przesądu niegodnego dusz prawdziwie artystycznych, dokąd nie wkroczą na drogę pracy dla mniéj indywidualnych celów.

. . . .

P. S. Prawda pewno kłuć będzie... wolelibyśmy napisane odwołać.

tc.

MOSENTHAL.

(Koresp. z Wiednia).

Smierć lubi silne effekta; kończy ona akt z błyskawiczną szybkością, zrywa nitkę intrygi bez względu na wytężoną ciekawość widzów, nie pozwalając nieraz dojrzéć akcji zupełnie.

Tak właśnie postąpiła dnia 17 lutego unosząc ze sceny życia i rzucając za kulisy wieczności człowieka pełnego zasług, który swego ostatniego słowa nie wypowiedział.

Tam nie dojdzie uszu jego żaden oklask, i nic go już nie zbudzi — Mosenthal zasnął na wieki.

Zgon ten zasmucił szczerze wszystkich Niemców. Piękny wiosenny prawdziwie dzień, stał sią dla nich chmurną dobą, kirem powleczoną. I choć już spoczywa cicho pod mogiłą z kwiecia prawie usypaną, nazwisko jego z ust nie schodzi.

Salomon Herman Mosenthal, urodził się w roku 1821 w Kassel, skąd w młodym wyruszył wieku i przybył do Austryi. Tu przyjęto go najgościnniéj — Wiedeń otworzył mu swoje serce i ztąd dla nowéj ojczyzny wzrosła u Mosenthala wielka miłość i gorące przywiązanie. Został Austryjakiem duszą i ciałem — wywdzięczając się krajowi, który mu dał kąt cichy i kawał chléba. Z pomiędzy wielu obywatelskich jego zasług tę cnotę głównie podnieść należy.

W tym tedy ukochanym przez się Wiedniu, Mosenthal rozpoczął swój zawód dramatopisarski. A krytyka niebyła dlań pobłażliwą; szczególniéj w ostatnich pięciu latach naszarpano jego dobrze zarobione imię i wartość utworów zniżano najniesłuszniéj.

Mówimy w ostatnich pięciu latach; od téj bowiem pory zaczęto w Wiedniu rzucać się na osobistości. *Lesbar und pikant* — oto hasło dziennikarskich benjaminków, nie wzbraniające im nieraz pióra maczać w krwi serdecznéj.

Lecz starzy krytycy, taki Laube np. wysoko stawiali Mosenthala i strzegli jego sławy; Mosenthal bowiem rzeczywiście ma niezmierne dla sceny niemieckiéj zasługi.

Jako poeta dramatyczny Mosenthal znał doskonale siłę swoją, i używał jéj z wielką wprawą i zręcznością. Jego „Deborah“ i „Sonnwendhof“ płody prawdziwie poetyckiego organizmu, są rzetelną ozdobą niemieckiéj literatury dramatycznéj. Po za niemi, jako najpopularniejszemi, kryje się cały szereg utworów podsycających repertuar scen niemieckich, mocno zwykle francuzczyzną łatany.

Niechaj ten i ów zarzuca mu melodramatycznego żywiołu zbyteczność, niedyskretne korzystanie ze znajomości efektów scenicznych; lecz sztuki Mosenthala, wyrabiały publiczność i dawały jéj zdrową strawę wtedy gdy autorów w Niemczech na palcach u jednéj ręki policzyć było można.

Stworzył on prawie ludowy dramat, o szlachetnéj barwie, dziś tak fatalnie do tendencyjności nagięty.

Oto spis celniejszych dzieł jego w przeciągu dwudziestu i pięciu lat na nadwornéj scenie wiedeńskiéj przedstawionych: „Cecylia Albano,“ „Sonnwendhof“ (dram. spolszczony przez Błotnickiego p. t. „Zagroda Sobkowa“ u nas bardzo dobrze przyjmowany), „Düweke,“ „Niemieccy komedjanci,“ „Niemieckie życie poetów,“ „Pietra,“ „Wiejski nauczyciel,“ „Gabriela Precy,“ „Schulz von Altenbühren,“ „Deborah“ (jeden z najpopularniejszych w świecie dramatów u nas także przedstawiony z panią Rakiewiczową w tytułowéj roli), „Izabela Orsini“ (rzecz tłomaczona na polskie przez W. M. Olendzkiego) i „Syrena“

Najwięcéj zjednała Mosenthalowi rozgłosu „Deborah.“ Grano ją we wszystkich prawie językach europejskich; Ristori odtwarzała ją świetnie na scenach włoskich, budząc postacią przepięknéj Izraela córy niekłamany entuzjazm.

Poeta poruszył bowiem w tym dramacie społeczny nerw, który jątrzył się lat setki a poruszył tak silnie iż ten zadrżał na całym świecie.

Mosenthal wybornym też jest nowelistą; jego szkice z życia żydów pełne są prawdy, humoru i uczucia.

Mosenthal téż był librecistą. Namiętna miłość muzyki skłoniła go do napisania kilkudziesięciu textów, z pomiędzy których połowa ma nastrój prawdziwie poetyczny i rzetelne dać może kompozytorowi natchnienie.

Był w téj skwapliwości gotowania tekstów podobny do Scribego który piękną swoję willę pod Paryżem zdobył librettami bardziéj podówczas pożądanemi, aniżeli inne dramatyczne produkcje.

I Mosenthal miał też swoje tusculum, na przedmieściu Wiednia; marzył on tam samotną i cichą starość, tu zasnąć chciał cicho z nadejściem ostatniego wieczora. Noc zaskoczyła go zawcześnie.

Cierpienia nerwów i serca odrywały go od pracy, w któréj znajdował niewysłowiony powab w odosobnionem swém życiu.

„Był to wierny sługa pana — jak rzekł o nim nad grobem znany pisarz Nordmann — człowiek sprawiedliwy i dzielny, poeta możny i słodki. Ziemia niech mu lekką będzie.“

A. A. Z.

SPORT.

Hodowla koni. (X) Galicyjskie Towarzystwo chowu koni i wyścigów, ukonstytuowane na nowych sześć lat, tj. do czerwca 1883 roku, odbyło dnia 17 lutego r. b. ogólne zgromadzenie pod przewodnictwem JE. hr. Alfreda Potockiego, Namiestnika Galicyi, i dotychczasowego Prezesa Towarzystwa.

Pod obrady przyszły sprawy następujące:

1) Wybór Prezesa, Wiceprezesa i 6 Członków wydziału na następne trzechlecie, tj. do czerwca 1879 r.

Wybranymi zostali:

Prezesem J. . Alfred hr. Potocki;
Wiceprezesem W-ny Kazimierz Tuczyński;
Członkami Wydziału: Juliusz hr. Bielski;
Adam bar. Heydel;
W-ny Alfred Mysłowski;
W-ny Kalikst Ochocki;
Stanisław hr. Piniński;
Stefan hr. Zamoyski.

2) Ze względu, że zwołana w maju 1876 r. do Wiednia ankieta dla spraw chowu koni całéj monarchii austryacko-węgierskiéj uchwaliła zasadę, że w Galicyi rząd głównie popiérać ma chów koni oryentalnych; ta zasada zaś, gdyby była podług uchwały ankiety w życie wprowadzoną, zagrażałaby niechybnym upadkiem hodowli koni zostającéj w ręku większych właścicieli ziemskich—ogólne zgromadzenie poleca Wydziałowi wybór komissyi z pomiędzy członków Towarzystwa, która ma się zająć wypracowaniem elaboratu, żądającego przynajmniéj równouprawnienia krwi angielskiéj z wschodnią, pod względem wspiérania przez rząd i w ogólnéj repartycyi stadników rządowych na kraj przypadającéj. Elaborat ten za pośrednictwem krajowéj komissyi chowu koni przedłożony będzie c. k. Ministerstwu rolnictwa.

3) Na prośbę komitetu wystawy krajowéj rolniczéj i przemysłowéj, mającéj się odbyć we Lwowie w jesieni r. b.,—by wyścigi lwowskie zamiast w czerwcu, odbyły się we wrześniu—uchwaliło ogólne zgromadzenie odpowiedzieć, że odłożenie zwykłych wyścigów lwowskich z czerwca na wrzesień jest niepodobném, głównie ze względu na interesa właścicieli koni wyścigowych. Jeśli jednak komitet wystawy zechce wziąć inicyatywę w urządzenie drugich wyścigów jesiennych we Lwowie, i albo z własnych funduszów zapewni nagrody, albo o takowe wystara się od rządu lub od miasta Lwowa—wydział Towarzystwa upoważniony będzie oddać komitetowi do użytku tor wyścigowy i potrzebne do urządzenia wyścigów przybory, wyścigi urządzić, oraz ze swéj strony dać na te wyścigi dwie nagrody przeznaczone na tory prowincyonalne.

4) Sprawozdanie komissyi rewizyjnéj statutów Towarzystwa.— Po szczegółowéj dyskusyi ogólne zgromadzenie przyjęło z małemi zmianami projekt komissyi rewizyjnéj i poleciło wydziałowi przedłożenie nowych statutów Namiestnictwu dla uzyskania zatwierdzenia rządowego.

Stadnina książąt Sanguszków.

(ciąg dalszy).

Książę Eustachy Sanguszko był tak zachwycony i szczęśliwy z posiadania tych koni, iż w korrespondencyach swoich nietylko, że wspomina o nich, lecz opisuje wypadki z podróży Moszyńskiego i zdarzenia jakie miały miejsce przy kupnie koni w pustyni arabskiéj.

Moszyński spełnił dobrze włożony na siebie obowiązek; pomagał mu radą Anglik, Rawson, pierwszy znawca koni arabskich, osiadły w Alepie, ożeniony z Arabką; to téż konie przez Moszyńskiego sprowadzone z pustyni, przyczyniły się niewątpliwie do udoskonalenia i uszlachetnienia stadnin książąt Sanguszków, i to w takim czasie, kiedy w całéj Europie na myśl nikomu nie przyszło przedsiębranie wyprawy pełnéj niebezpieczeństw po konie do Arabii.

W pustyni arabskiéj i dziś jeszcze znajdują się najwyższe typy doskonałości koni rassy arabskiéj; lecz w wieku naszym idącym z szybkością pary i elektryczności, nikt nie ma dość wolnego czasu, by lat parę poświęcił na odszukanie znakomitych koni pustyni, jak to zrobili Burski i Moszyński.

Powyższe szczegóły dowodzą, z jak wielkiém zamiłowaniem rodzina książąt Sanguszków od dawna zajmowała się wychowaniem koni arabskich, i że staraniem aż czterech pokoleń, podjęte zabiegi, najświetniejszemi rezultatami uwieńczone zostały. Dowodzi to również niezwykłego amatorstwa najszlachetniejszego zwierzęcia, jakim jest koń, nadzwyczajnéj wytrwałości w dopięciu zamierzonego celu, którym to celem było i jest hodowanie konia najszlachetniejszéj i najczystszéj krwi arabskiéj,—nieskrępowania się największemi nawet wydatkami na zakupienie reproduktorów i matek potrzebnych do przeprowadzenia pierwotnéj praojców i swojéj obecnie idei ciągłego uszlachetniania koni, znajomości rzeczy i nadzwyczajnéj rutyny whodowli.

Jak tylko otrzymamy od ks. Romana Sanguszki starszego, bliższe i detaliczne wiadomości, co do obecnego stanu stadnin własnością Jego Książęcéj Mości będących, nieomieszkamy takowych w najbliższych numerach pisma naszego ogłosić.

— Zarząd Stada Koni w Łosiu, podaje do wiadomości, że od 1-go maja do 15-go czerwca r. b. w tutejszym stadzie będą pokrywać klacze następujące ogiery:

1) Neptunus skarogniady peł. krwi ang. sprowadzony z Anglii 1872 urodzony tamże 1859 r., po ogierze Weatherbit po Schet Anchor i klaczy Athene Pallas po Airich Berdcatcher: klacze tylko pół krwi po rs. 120 i rs. 3 dla służby.

2) Y. Eclips peł. krwi ang. gniady, urodzony w tutejszym stadzie 1869 r. po og. Tordesillas po og. Touchton i kl. Coloquint po Petto, ze stada hr. Benard: klacze pełnéj krwi po rs. 75, a pół krwi po rs. 40, dla służby po rs. 2. Ogier ten na specyalnéj wystawie koni w Moskwie 1875 r. otrzymał rs. 700 nagrody.

Ogier Neptunus po skończonym sezonie stanówki, będzie do sprzedania za 2,500 rs. Więcéj szczegółowy rodowód można znaleźć w „Gen. St. B. Vol. IX. page 19.

Wyścigi osłów. W dniu 12 lutego r. b. odbyły się w Nicei w obec tłumnie zebranéj publiczności zapełniającéj chodniki, balkony i okna na angielskiéj promenadzie wyścigi na osłach. Pierwszą nagrodę w wyścigu du Var bez przeszkód, i pierwszą nagrodę w wyścigu du Paillon z przeszkodami, zdobył ks. Czetwertyński na ośle „Fine Champagne" zwyciężając osła „Bastringue" jeżdżonego przez hr. Gessler. Nagrodę w wyścigu de la Consolation, zdobył ks de Rohan, który dobrze zasłużył się na takową; sam albowiem przez kilka dni zajmował się trenowaniem osła.

Miscelanea. W tych czasach przeniósł się do wieczności jeden z najsławniejszych sportsmanów angielskich, p. M. Merry, zostawiając ku pociesze swéj wdowy tylko 40,000,000 franków majątku. Pan Merry, właściciel wielkich kopalń rudy żelaznéj w Szkocyi, członek izby niższéj w parlamencie, znanym był powszechnie więcéj jako posiadacz stajni, któréj wychowańcy wygrali dwa razy wielkie Derby i le Saint-Léger, nielicząc wielu pomniejszych wyścigów, aniżeli jako przemysłowiec, lub rzecznik parlamentarny. Obliczono, że w ciągu lat 50-tu stajnia p. Merry przyniosła mu okrągłą cyfrę 240,000 funtów szterlingów, czyli 6,000,000 franków,

— W operze londyńskiéj, ku wygodzie publiczności, miejscowi odzwierni obowiązani są wywoływać głośno nazwiska tych osób, których ekwipaże zajechały pod przedsionek po skończoném przedstawieniu. Praktyczny ten zwyczaj niemało przyczynia się do szybkiego wyekspedyowania oczekującéj w przedsionkach publiczności, i dla tego godzien jest naśladowania, mianowicie u nas, gdzie niezmierne przeciągi powietrza czuć się mocno dają wszystkim na swe ekwipaże wyczekującym.

— Nowego rodzaju bilety wizytowe wchodzą bardzo w modę; są to bilety odznaczone kolorami żokiejskich kurtek na wyścigach używanych, oraz czapek i rękawów, które to kolory właściciele koni wyścigowych dla odznaczania swych rumaków raz na zawsze sobie obrali. Pomiędzy sportsmanami używającemi wzmiankowanych biletów wizytowych, wymieniają jako piérwszych pp. Rotschild, de la Grange, Daru, Lefévre, Délamarre, Delâtre, d'Arenberg, Henessy i wielu innych.

— Wiadomo jak wielką rolę odgrywają kwiaty naturalne nietylko w mieszkaniach, ale i w damskich strojach. Otóż niektóre damy znane z wykwintnego gustu, używają kwiatów jako wachlarzy; a to w ten sposób, że do wachlarza formy okrągłéj wpięte są kwiaty naturalne, które zastępując najwyborniéj bukiet, służą zarazem do przyjemnego i pachnącego ochładzania się. Nowość ta czysto paryzkiego pomysłu niezawodnie rozpowszechni się prędko; mianowicie zaś w Anglii, Włoszech, Nicei, a nawet i w Ameryce, gdzie kwiaty w wielkiéj obfitości w powszechném są użyciu. Wachlarz taki nosi miano: éventail-bouquet.

High life. Przybyli do Warszawy: Ordynat hr. Tomasz Zamoyski p. Stanisław Rembieliński wł. Krośniewic, i p. Jerzy Fanshave.

P. Bożewski wł. dóbr z Ugoszcza.

P. Zenon Brzozowski wł. dóbr z Ukrainy.

Hr. August Potocki wł. dóbr z Horodna.

P. Wacław Wernicki, dyrektor Banku Dyskontowego z kontraktów kijowskich.

P. Władysław Rembieliński wł. dóbr z Lubelskiego.

Wyjechał: Zygmunt Wielopolski, Margrabia Myszkowski, Koniuszy Dworu J. C. M. do Chrobrza.

J. N.

OD REDAKCYI.

„GONIEC TEATRALNY" w przyszłym kwartale wychodzić będzie w téj samej formie i w jednakim zakresie. W jednym z następnych numerów rozpoczętą zostanie sensacyjna powieść p. t. *„Romans Adeliny Patti."*

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:		w Cesarstwie i na prowincyi:	
Rocznie	Rs. 10 kop. —	Rocznie	Rs. 12
Półrocznie	„ 5 „ —	Półrocznie	„ 6
Kwartalnie	„ 2 „ 50	Kwartalnie	„ 3

Cena numeru pojedynczego kop. 20.



Sport łyżwiarski w Łazienkach królewskich.

Redaktor i Wydawca **Józef Naimski** — Дозволено Цензурою, Варшава 23 Февраля 1877 г. — Druk **J. Ungra**, Warszawa Nowolipki Nr. 2406 (3).

Redakcya i główna ekspedycya w kantorze drukarni J. Ungra, w Warszawie Nowolipki Nr. 3.